

04.11.2006 Hongkong

Hej Kochani,

Tutaj Hania. Właśnie wróciłyśmy z wieczornej wycieczki po zakamarkach Hongkongu. Jest godzina 1:00 miejscowego czasu, a w Warszawie 18:00. Siedzę z laptopem na kolanach w łóżku, na 25 piętrze City Garden Hotel. Mama już słodko pochrapuje. Klimatyzacja szumi miarowo, a ja wciąż mam wrażenie, że lecę samolotem. Coś chyba stało mi się z błędnikiem, bo mam wrażenie, że Ziemia pod moimi nogami lekko się buja i drży. To takie samo wrażenie, jak to, które miałam po przyjeździe pociągiem z Warszawy do Mayerhoffen w Austrii. Czułam się wtedy tak, jak gdybym wcale nie wysiadła z pociągu. To pewnie dlatego, że podróż trwała ponad 14 godzin.

Początek wyprawy obfitował w przeróżne wrażenia. Pierwszy samolot, którym leciałyśmy z Warszawy do Monachium, był nowiuteńki, ale bardzo mały i klaustrofobiczny. Pracownicy Lufthansy zabrali nam bagaż podręczny, bo luki wewnątrz kabiny były tak małe, że nic się nie mieściło. Przez megafon na pokładzie samolotu, kapitan oświadczył, że ze względu na oblodzenie nawierzchni, tylko dwa pasy startowe są czynne. Ponoć Polacy nie mają wystarczającej liczby obsługi i nie nadążają z oczyszczaniem lodu. W związku z tym powstał mały korek i musimy poczekać na swoją kolej do startu. Czekaliśmy pół godziny, w ciągu której oblali samolot jakąś białą pianą. Chyba rozmrażającą. W końcu wystartowaliśmy i lot był całkiem znośny. Może tylko raz była mała turbulencja, ale w sumie było w porządku. Zważywszy na to, że pilot dodał gazu i byliśmy na miejscu bez żadnego opóźnienia, można uznać, że początek podróży był bardzo udany.

W Monachium spokojnie czekałyśmy 2 godziny na następny samolot. Zakupiłam sobie specjalistyczne podkolanówki do podróży samolotem, stymulujące krążenie. Zjadłyśmy sobie kolację i nawet udało mi się umyć zęby. W ogromne zdziwienie wprowadził mnie sexshop z peep-showem na lotnisku :-/.

Samolot lecący do Hongkongu również był prawie nowy. Miałyśmy miejsca przy oknie, ale muszę przyznać, że było mi ciasno. Siedziałyśmy tuż za biznes klasą. Tam, pasażerowie mieli rozkładane fotele do spania i bardzo dużo miejsca. Podobno bilet Lufthansy w tej klasie jest 2 razy droższy i kosztuje 6 tys. Cena znacznie się różni w samolotach rosyjskich linii Aeroflot. W klasie biznes miejsce w obie strony kosztuje tylko 3,5 tys. złotych. Leci się przez Moskwę i podróż trwa odrobinę krócej. Mama oświadczyła, że następnym razem, gdy wybiorą się z Miśkiem do Chin, polecą właśnie tą linią.

W trakcie lotu można było słuchać radia, oglądać wiadomości CNN lub film „Ja, Ty & Dupree” – swoją drogą kiepski. Na ekranie były też wszystkie ważne informacje, odległość i czas który pozostał do lądowania, mapa z samolocikiem, który w miarę upływu podróży przesuwał się na zaznaczonej trasie. Stewardesy przynosiły drinki bez ograniczeń oraz kolację (2 dania do wyboru) i śniadanie. Nie będę Was oszukiwać dla mnie lot nie należał do najprzyjemniejszych, ale biorąc pod uwagę mój lęk przed lataniem, spodziewałam się, że będzie gorzej. Było mi strasznie gorąco. Obok siedziała rodzina z dwoma małymi dziećmi. Nie mogłam się usadowić. Wstawałam, chodziłam do łazienki, nawet ćwiczyłam skłony i wygięcia kręgosłupa. W końcu wzięłam pastylkę na sen i zasnęłam. Gdy leci się tak długo, turbulencje i wstrząsy przestają po prostu robić na tobie wrażenie i musisz je zaakceptować.

W którymś momencie poddałam się i zaczęłam wyobrażać sobie, że jadę pociągiem. I to pomogło.

Doleciałyśmy około 15:15 miejscowego czasu. Na lotnisku czekał na nas przedstawiciel biura podróży z moim nazwiskiem na kartce. Zapakował nas do wielkiego mercedesa i pojechałyśmy z lotniska położonego na tzw. „nowych terytoriach” na wyspę Hongkong do hotelu. Ruch tutaj jest lewostronny, a miasto robi ogromne wrażenie. Przede wszystkim swoim rozmachem. Przypomina mi trochę Nowy Jork. Szerokie czteropasmowe drogi, bez skrzyżowań, bo wszędzie są wiadukty. Tunele pod górami i pod wodą. Kolorowe neony, bardzo wysokie wieżowce i tłumy ludzi. Olbrzymie reklamy od Yahoo, Epsona, Panasonica i Cannona, po Fortis Bank i reklamy kosmetyków, których nie znam. Przepych i elegancja. Ruchome schody zamiast chodników. Czerwone taksówki, których drzwi same automatycznie otwierają się i zamykają.

Jest ciepło i wilgotno. Myślę, że jest jakieś 26 stopni. A powietrze jest takie lepkie.

Gdy dojechałyśmy do hotelu, wzięłam prysznic i zdrzemnęłam się trochę. Mama, sama ruszyła w miasto. A to wymienić pieniądze, kupić wodę i specjalny adapter do gniazdek, bo nasze urządzenia nie pasują do tutejszych kontaktów.

Poszłyśmy na kolację w „naszym” hotelu. Kelnerzy kochają tutaj mamę i bardzo ciepło ją witali. Są jakoś tak napięci, bardzo starają się, aby wszystko było w porządku, a goście usatysfakcjonowani. Zrobią wszystko specjalnie dla ciebie, w taki sposób w jaki sobie tego życzysz, przy czym wydaje się, że wcale nie muszą i robią to z dużą ochotą. Obsługiwało nas 6 kelnerów, choć zamówiłyśmy zupę i dwa różne dania, w tym oczywiście przepyszne krewety. W hotelowej restauracji odbywała się impreza z okazji przejścia jednego z gości restauracji na emeryturę. Śpiewali, śmiali się, ściskali i poklepywali po plecach. Panowała bardzo miła i przyjazna atmosfera. Od przepysznego reńskiego winka zaszumiało mi w głowie i poczułam, że rozpoczęła się naprawdę fascynująca przygoda.

Ruszyłyśmy w miasto. Najpierw na plenerowy koncert tajwańskich rockowych gwiazd, który zauważyłyśmy jadąc taksówką. Jak widniało na afiszu był to ”San Miguel's WildDayOut” – Grand Show 2006. Występowali tam między innymi: F.I.R., David Tao, Candy Lo.



Potem zajrzałyśmy do rozrywkowej dzielnicy z barami i dyskotekami. Najślawniejsza ulica tutaj to „Lan Kwai Fong”.



Na koniec na drugą stronę zatoki na półwysep Kowloon, gdzie do 12:00 w nocy jest otwarty bazar tzw. „Ladies Market”. Tłumy młodzieży. Wystylizowani i modni. Szczególnie panowie mają tutaj bardzo wypracowane fryzury. Bardzo popularne są pół długie włosy.



W sumie spotkałyśmy niewielu zagranicznych turystów. Najwięcej było w rozrywkowej dzielnicy. Widziałam dziś niekończące się ulice z straganami jak na stadionie dziesięciolecia, a tuż obok eleganckie sklepy. Aż w głowie się kręciło od tego wszystkiego, bo gorąc dawał się we znaki. I tak wylądowałam w hotelu, by napisać Wam o moich przygodach.

Hanita

05 listopada 2006, Hongkong

Właśnie kończy się Niedziela. To wyjątkowy dzień dla bardzo dużej części mieszkańców Honkongu. Tysiące filipińskich kobiet, które pracują tutaj jako gosposie i sprzątaczk, jak co tydzień wyległo na ulice tego tętniącego życiem miasta. Niesamowity widok. Biedne kobiety, które cały tydzień pracują i mieszkają w bogatych domach swoich pracodawców, w niedzielę mają wolne i nie mają się gdzie podziać. Dlatego każdy wolny skrawek chodnika, trawnika i murku był dzisiaj zajęty. Na kartonach, kocach i gazetach tysiące filipińskich kobiet siedziało razem, aby choć chwilę poplotkować z koleżankami, pograć w karty i odpocząć. Z punktu widzenia Europejczyka dziwny to odpoczynek, siedzieć na kartonie na chodniku w tunelu dla pieszych, ale one wydawały się zadowolone.



Wycieczkę z prywatną przewodniczką i kierowcą, który woził nas małym Nissanem Busem, rozpoczęliśmy od świątyni Man Mo. Wciśnięta gdzieś pomiędzy 40-piętrowe wieżowce, mała kaplica wypełniona była dymem z kadzideł. Wśród modlących się były same kobiety. Podobno mężczyznom nie wypada prosić bogów o opiekę, czy pomoc. Jest to postrzegane tutaj jako słabość i świadczy o tym, że mężczyzna jest podejrzliwy i przesądny. Jest to najstarsza świątynia w Honkongu i dlatego każdy turysta powinien rozpocząć zwiedzanie tego miasta od właśnie tego miejsca, co potwierdzają liczne broszury i ulotki w lobby hoteli.

Aby przywitać się z bogami w świątyni zapala się trzy kadzidła. Jedno dla Boga, jedno dla świata zmarłych i jedno dla siebie. Można tam było skorzystać z tzw. „fortune telling” – przepowiedni na przyszłość, więc nie zwlekając ani chwili postanowiłam dowiedzieć się, co niesie ze sobą mój przyszły los.

Dostaje się drewniany kubek z bambusowymi patyczkami, na których wypisane są numerki. Klęcząc przed ołtarzem potrząsa się naczyniem tak długo, aż wypadnie jeden patyk. Zazwyczaj wypada ich kilka, więc całą procedurę powtarza się tak długo, aż wypadnie ten jeden, który mówi o naszej przyszłości. Chińczycy wierzą, że to sam Bóg sprawia, że odpowiedni patyczek wypada na podłogę. Gdy już w końcu dowiesz się, jaki numerek jest na twoim patyczku, mnie zajęło to ponad 15 minut, idziesz do straganu w korytarzu i kupujesz karteczkę z przepowiednią odpowiadającą twojemu numerowi na drewnienku. Przepowiednia jest w formie historii, której znaczenie jest odpowiedzią na twoje pytanie.



Moją odpowiedź na przyszłość można zawrzeć w jednym zdaniu: „Z początku będzie bardzo trudno, ale w miarę upływu czasu odniesiesz sukces”. Pytania pewnie się domyślasz. „Czy wrócę jeszcze do muzyki?”

Ale wróćmy do Hongkongu. Kolejnym miejscem, gdzie porządny turysta przyjeżdżający do Hongkongu powinien się znaleźć jest Victoria Peak, czyli szczyt najwyższej góry na wyspie z przepiękną panoramą miasta. Można dojechać tam samochodem lub kolejką - tramwajem. Punkt widokowy jest tak usytuowany, że przy dobrej, słonecznej pogodzie można zobaczyć ogrom tego miasta. Nie będę się rozpisywać. Zobaczcie sami na zdjęciach.



W broszurce z hotelu z kolorowymi propozycjami turystycznymi znajdują się jeszcze trzy punkty warte odwiedzenia: Wioska rybacka Abergeen i największa na świecie restauracja na łodzi - JUMBO RESTAURANT, Świątynia na plaży – Repulse Bay i Bazar na Stanley Market.

Tak naprawdę broszurkę znalazłam dopiero po powrocie z wycieczki do hotelu i poczułam się jak zwykły turysta, któremu zaserwowano turystyczną papkę. Punkt po punkcie realizowaliśmy podstawowy, standardowy plan wycieczki dla jak ja to nazywam „leniwych i nudnych turystów”. Chyba jednak trzeba zacząć od podstaw, aby następnym razem, gdy przyjedziemy tu sami i będziemy mieli więcej czasu, zagłębić się w to niesamowite miasto trochę bardziej.





Była jednak jedna rzecz, której spróbowałyśmy w odróżnieniu od zwykłych turystów. Nasza przewodniczka zabrała nas do restauracji, gdzie przychodzą tylko Chińczycy, na lunch zwany DIM SUM. Dim sum to małe chińskie przekąski, odpowiednik hiszpańskich tapas czy greckich mezedes. Posiłek taki jest podawany na olbrzymiej sali, przy stolikach między którymi jeżdżą kelnerki z wózkami wypchanymi potrawami, podawanymi w małych porcjach. Koszyczek z trzema pierożkami, małe spring rollsy z krewetkami, zupa rybna. Tak jak w sushi barze zamawiasz, a kelnerka na specjalnie przygotowanym formularzu odznacza stempelkiem, co zjadłeś. Bardzo mi smakowało. W ogóle muszę przyznać, że jedzenie jest tutaj wyśmienite.



Jeszcze garść faktów i anegdot. 1 dolar amerykański to 7,5 dolara hongkongskiego. Przeliczając na złotówki to 1 dolar z Hongkongu jest wart 40 groszy. Na wyspie żyje 7 milionów ludzi i jak wyjaśniła to nam przewodniczka jest to niewielka populacja. Mieszkania są tutaj potwornie drogie. Zazwyczaj na 40 metrach mieszka pięcioosobowa rodzina i są uważani za szczęściarzy z dużym mieszkaniem. Ceny mieszkań są dziesięciokrotnie droższe niż w Warszawie. Wszystko z powodu tego, że na wyspie nie ma już przestrzeni, aby budować nowe bloki. Dlatego te, które tu budują mają minimum 45 pięter.

Tylko co 5 Chińczyk w Hongkongu posiada samochód i każdy mężczyzna marzy o tym, żeby go mieć, a najlepiej żeby było to BMW. Skrót dla nich oznacza Business, Money, Wife lub Women. Podobno dla Chińczyka samochód to jego druga żona. Dużą wagę przywiązują też do cyfr. Najlepsza 9 oznacza bodactwo. Najbogatszy człowiek w Hongkongu ma rejestrację samochodu "9", samo 9 bez innych cyfr, czy literek. Gdy jedzie ulicami, każdy wie kim jest. Równie dobra jest liczba 8. A jak najłatwiej zarobić pieniądze na Chińczykach? Ustawić małą studnię i wpuścić do niej żywe żółwie. Wtedy wszyscy Chińczycy będą wrzucać tam pieniądze, na szczęście.

Bez przewodnika, wieczorkiem byliśmy jeszcze na Hollywood Road, gdzie kupić można antyki, a później w rozrywkowo – restauracyjnej dzielnicy SOHO. Jadliśmy wysmienitą kolacyjkę w Nepalskiej restauracji. Bardzo polecamy sałatkę z kaczką.

8.11.2006 Sanya

Za chwilę idę na plażę. Po południu jedziemy do gorących źródeł. Mają tam podobno masaż rybami. Siedzisz w brodziku z rybami w wodzie, która ma 38 stopni, a one podobno żywią się ludzką skórą i z chęcią robią Ci peeling. Spróbowałam. Bardzo łaskocze. Tylko dla ludzi, którzy lubią ekstremalne przeżycia.



8.11.2006 – w Samolocie - Lot z Hainanu do Kumingu (czas lokalny: 22:00)

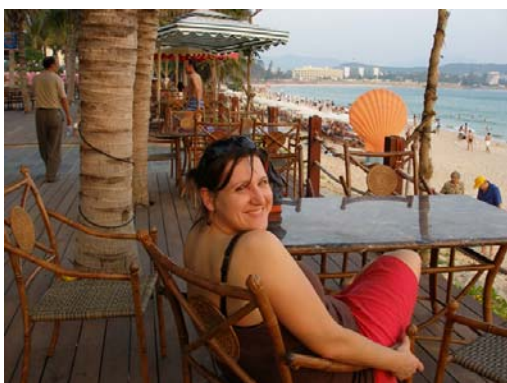
Cholera, ale trzęsie. Lecimy liniami China Eastern. Samolot wypchany Chińczykami. Mama nazywa ich „małe rączki, czarne główki”. Kurcze, ta masa ludzka zaczyna mnie z lekka przerażać. Dziś na lotnisku był taki tłum, że ledwo można było się przecisnąć. Lotnisko w Sanya’ii – stolicy wyspy Hainan, małe jak na Rodos. Odchodziły tam niezłe sceny. Najgorsze, że pozwalają im w zamkniętych pomieszczeniach palić papierosy, co jeszcze pogarsza sytuację.

Mamy już niestety nadbagaż, choć wcale wielu rzeczy nie kupiliśmy. Do tego po prześwietleniu bagażu podręcznego, Chińczycy wypatrzyli u mamy w torbie 2 butelki wina i chcieli je nam zabrać, twierdząc, że nie wolno na pokład wносить nic do picia. Nie są zbyt sprytni, bo u mnie w torbie była butelka rumu i jej nie zauważyli. Skończyło się na tym, że musiałyśmy nadać torbę podręczną jako normalny bagaż i przechodzić całą procedurę odprawy od nowa, co nas lekko zestresowało.



Mineły kolejne dwa dni wyprawy. Za nami pobytu w kurorcie Sanya nad morzem południowo-chińskim. Pogoda w sumie dopisuje. Było duże zachmurzenie i trochę wiało, ale przynajmniej jest ciągle ciepło (28°C). Nasz hotel Pearl River Garden był raczej taki sobie, turystyczna masowa dla Rosjan. Nawet rozrywka w postaci muzyki na żywo, w wykonaniu rosyjskich artystów, rosyjskie disco, ten klimat. Chińczycy, którzy pracują w usługach lub cokolwiek sprzedają, witali nas z uśmiechem na ustach i niezamordowanym „Zdrastujcie”, co mnie osobiście totalnie denerwowało.

Ale za to plaża bardzo piękna, palmy, kwiaty, co sobie tylko wymarzysz. Wczoraj byliśmy na wycieczce w gorących źródłach. Weszłam do brodzika z rybkami, które objadają obumarły naskórek. Totalne przeżycie, strasznie łaskotało. Oprócz tego były kąpiele w 40-stopniowej solance, w mleku kokosowym i nawet w kawie. Bardzo pięknie wszystko zaaranżowane.



Dziś za to pojechałyśmy do najbardziej ekskluzywnego kurortu na wyspie - Yalog Bay, gdzie najpierw oglądałyśmy rafę koralową i rybki na specjalnej łódce podwodnej (żadna rewelacja), a potem wylądowałyśmy w przepięknym hotelu Crowne Plaza.

Jak będziesz miał chwilę to zajrzyj na stronę internetową

<http://www.ichotelsgroup.com/h/d/cp/1/en/hotel/SYXCP/welcome> . Boski 5 ***** hotel, tak dopracowany, że aż szkoda, że nie stać nas, aby tam zamieszkać.



Codziennie chodzimy na masaże stóp. Mam już doświadczenia z salonu w centrum handlowym w Hongkongu, z centrum spa w naszym hotelu na Hainanie, z centrum spa w gorących źródłach i z instytutu masażu stóp obok hotelu. Każdy z nich różnił się od drugiego. Raz moczyliśmy nóżki w algach, raz w jakiejś błotnistej mazi, a raz w galaretkie o białawym kolorze. Dzisiaj miałyśmy masaż w stylu tybetańskim – rozgrzewający. Życie mnie rozpieszcza ostatnio, choć może to zadośćuczynienie za te stropy związane z lataniem.

W Kumingu mamy tylko przespać noc i jutro rano znowu lot dalej. Na szczęście przeloty mają od 40 minut do maksymalnie półtorej godziny, więc jakoś dają radę. Jutro jedziemy na słońce i na tarasowe uprawy ryżu. Ciekawe, jak będzie.

Xishuangbanna 10.11.2006 (czas lokalny około 22:00)

A u nas przygód część dalsza. Mamie zaciął się zamek w walizce i nie może się dostać do środka. Właśnie teraz jakiś Chińczyk "mała złota rączka" piłuje na pół zamek do walizki.

Mieszkamy teraz w hotelu Tai Garden <http://www.xsbn-taigardenhotel.com/>, niestety dali nam pokój w starej części, ale i tak lepszy niż ten 3*** w Kumingu, gdzie spałyśmy tylko jedną noc.

Dziś w planie:

1. Ogród botaniczny
2. Wioska mniejszości narodowych. W Chinach jest ich aż 56 różnych odmian.
3. Jakiś targ
4. A na koniec, przedstawienie muzyczno - taneczno-ludowe nad rzeką Mekong z kolacją.

Miał być jeszcze spływ rzeką, ale chyba sobie darujemy. Musze lecieć.
Haniula



Xishuangbanna 11.11.2006 (czas lokalny około 9:00)

Dziś sobota, a więc połowa podróży za nami , teraz będzie z górki. Dziś lot do Kunmingu o 18:00, a jutro o 13:00 wylot do Guilin, tam 3 dni i do Szanghaju, 2 dni i już jestem w domku. Jakaś zaspana jestem, już mi się nie chce tak biegać ciągle.



W Xishuangbanna jest w miarę tanio więc wyzwanie przede mną duże. Chce dziś kupić specjalne urządzenie i naczynie do gotowania chińskiego dania HOT POT. Byłyśmy wczoraj w restauracji na czymś takim i było przepyszne. Dobro rozwiązanie na imprezy, wszyscy jedzą z jednego garnka. Nie wiem jak będzie z Internetem w Guilin, więc może się zdarzyć, że nie będę pisać przez jakiś czas.

Heniek



Lot z Kunming do Guilin 12.11.2006 (czas lokalny około 12:00)

Dużo nie napisałam. Jakoś nie mogę się skupić i co gorsza, bateria się szybko rozładowuje.



Guilin 13.11.2006 (czas lokalny około 20:00)

Niestety podupadam na zdrowiu. Przeziębienie mnie dorwało i czuję się nie najlepiej. Leci mi z nosa i cały czas się pocę. Wczoraj byliśmy na Longji Terrace. Dzisiaj będziemy na jakiejś łódce pływać po rzece Li.





Kurcze, ja chce już do domu. Zaczynam freakować myśląc, co mnie czeka jak wrócę do pracy. A życie na walizkach i ciągle przewodniczki są dla mnie do wytrzymania najwyżej przez tydzień.

Hotel, w którym mieszkamy w Guilin. <http://www.glbravohotel.com>

Hania

Lot z Guilin do Shanghaju 14.11.2006 (czas lokalny około 11:00)

Siedzimy sobie w samolocie. Tym razem jest to Air China.

Do tej pory wypróbowałyśmy linie China Eastern, China Southern, Shanghai Airlines, a teraz Air China. Najgorsze były China Southern. To te z rozwalonym stolikiem i nie zamykającymi się zasłonkami na okno.

Już się przyzwyczaiałam to tego latania. Nie robi to na mnie większego wrażenia.

Kilka słów o naszych przewodnikach. Na każdym lotnisku odbierał nas ktoś inny.

W Hongkongu była to Michell, na Sania'y straszny olewus Peter, w Kunmingu Shelly, w Xishanbanna Coco i w Guilin Mark. Niech nie zwiodą cię amerykańskie imiona, wszyscy są Chińczykami.



Najgorszy był Peter na wyspie Hainan. Niczym się nie przejmował i w ogóle nie był przygotowany. Gdy pytałyśmy go, czy ma bilety na samolot, odpowiadał że my powinnyśmy mieć, używał sformułowania „I think” zamiast „I am sure”, co wprowadzało nerwową atmosferę, bo przecież przewodnik powinien wiedzieć dokąd, kiedy i czym jedziemy.

Najfajniejsza była Coco. Bardzo miło mi się z nią rozmawiało. Zbierała nas do swoich ulubionych knajp i opowiadała o tym, jak się jej żyje. Inteligentna babka. Ma 29 lat, studiowała pedagogikę, ale gdy poznałam obcokrajowców żyjących na stałe w Xishanbanna, zaprzyjaźniła się z nimi i tak samo wyszło, że została przewodnikiem. Pomimo wieku, wciąż mieszka z rodzicami. Nie ma chłopaka, bo podobno w tym mieście przypada 3 dziewczyny na 1 chłopaka, co utrudnia znalezienie sensownego partnera. Coco była w Niemczech, w Berlinie, ale twierdzi, że woli mieszkać w swoim małym mieście.

Nie dziwię się jej, jest tam zielono i bardzo pięknie. Coco mówiła płynnie i swobodnie po angielsku, może dla tego podobała mi się najbardziej. Region Xishanbanna, leży na samym południu, pomiędzy Birmą, Laosem i Wietnamem. Są to przede wszystkim plantacje drzew kauczukowych, bananów i ananasów. Populacja składa się głównie z mniejszości narodowej o nazwie DAI. Przeważnie nie chodzą do szkoły, głównie zajmując się uprawą ziemi i zbieraniem kauczuku. Jedynie chłopcy w wieku około 10 lat muszą iść na minimum 3 lata mieszkać i uczyć się w świątyni buddyjskiej. Tam poznają historię i tradycyjne pismo DAI. Wszystkie reklamy, gazety i szyldy są tutaj napisane w dwóch językach. Rządzą tu lokalni oficjele. Podobno w latach siedemdziesiątych przyjeżdżało tu wielu Chińczyków z centralnych Chin, aby uczyć lokalnych mieszkańców uprawy roślin, ekonomii i języka chińskiego. Wielu z nich zakładało rodziny, lecz po paru latach wyjeżdżało. Dlatego jest tu wiele dzieci, teraz już dorosłych, którzy nie znają swoich ojców. Przypuszczam, że Coco jest takim dzieckiem. Bardzo fajna dziewczyna poznała nas ze swoimi znajomymi i była bardzo serdeczna.

Zupełnie inną osobą jest Mark – przewodnik w Guilin. Jego specjalnością jest recytowanie formułek z podręcznika. „W imieniu biura turystycznego Highlights z Guilin i swoim witam was bardzo serdecznie na ziemiach Guiliskim i najpiękniejszym w Chinach mieście Guilin. Tu powietrze jest najczystsze na widoki najpiękniejsze. Pięć skarbów, które Chiny dały światu to przepyszna kuchnia, sztuki walki i”, dalej nie pamiętam.

„..... Guilin słynie ze trzech swoich produktów malowideł, pereł i jedwabiu. A teraz powiem wam o ustaleniach dzisiejszego dnia. A teraz chciałbym Wam przedstawić system wodny w Guilin, który składa się z dwóch rzek i trzech jezior. Mamy tutaj wiele gór, których imiona to: Słoniowa góra, ślimacza góra, góra tunelowa Itd. Itd.”

Cały czas serwował nam w ten sposób informacje. Było to przekomiczne.

Dopiero po dwóch dniach, gdy płynęliśmy po rzece Li statkiem, Mark otworzył się trochę i powiedział, że imię Mark nadał mu nauczyciel angielskiego, że studiował IT, ale nie szło mu, że ma brata, ale jego ojciec nie żyje, dlatego uważa, że musi ciężko pracować, aby zmienić swoje złe przeznaczenie. Nie ma dziewczyny, choć jest już po 30. Twierdzi, że bardzo chciałby mieć już rodzinę, ale nie jest wystarczająco bogaty, aby ją założyć, bo nie ma swojego mieszkania, nie chce mieszkać z żoną i rodzicami.

Bardzo wypytywał o Ciebie, bo oczywiście pokazywałam twoje zdjęcia. Czy jesteś wysoki i czy grasz w kosza. Czy chcemy mieć dzieci itd.

Dziwne było to, że nie chciał siadać z nami przy stole i trzymał się zawsze z boku. Dopiero, gdy się go zaprosiło, po długich namowach siadał, ale tylko jak zjadł uciekał.

Z Markiem byliśmy na Longji Terrace, to słynne tarasowe pola ryżowe. Zabrał nas również na spacer wokół jezior i rzek Guilin oraz na nocny targ. Ostatnim miejscem, które odwiedziłyśmy było miasteczko Yangshuo, które bardzo mi się podobało, ze względu na to, że mieszka tam dużo obcokrajowców i młodzieży. Miasteczko to, było zakończeniem 4 godzinnej rejsu po rzece Li. Na statku sami zagraniczni turyści z Francji, Szwecji, Brazylii no i oczywiście z Polski.

Czy wiesz, że w Chinach większość sklepów jest otwarta do 24:00. Nasz przewodnik, dzielnie znosił nasze zakupowe szaleństwa. Nie chciał się tylko mieszać w negocjacje cenowe. Rzeczywiście można wynegocjować olbrzymie zniżki. Np. ze 180 na 40 Yuanów. Coś tam kupiłam, ale nie było fajnych ciuchów, ani butów w naszych rozmiarach, więc większość rzeczy, które przywiozę to ozdoby do domu. No i tak moi kochani, czas leci, choroba mnie toczy, bo mam potworny katar i podróż niedługo dobiegnie końca. Na razie trzymajcie się ciepłutko i do zobaczenia już jutro.

Shanghaj 16.11.2006 (czas lokalny około 23:00)

Szanghaj potraktował nam mało łaskawie. Ciągłe lało i nie mogłyśmy złapać taksówki. Obowiązkowa wizyta w Świątyni nefrytowego Buddy i Yunnan Garden została zaliczona. Potem zakupy na Huai Hai Road i wizyty w 4 różnych gabinetach masażu. Jestem tak wymasowana, że wystarczy mi na dłuższy czas.





Base 802714AI (R00152) 3-01

KONIEC